

Dr Magdalena Nowicka-Franczak
Zakład Badań Komunikacji Społecznej
Instytut Socjologii
Uniwersytet Łódzki
m.nowicka_franczak@uni.lodz.pl

1. W ostatnich dekadach społeczeństwo polskie doświadcza wielkich zmian. Czy Pani/Pana zdaniem socjologia polska je **opisała, uogólniła i teoretycznie zinterpretowała**? Co uchwyciła, a co pominęła? Co wnosi do socjologii światowej?

Na pytanie Pomysłodawców ankiety będę odpowiadać z perspektywy badaczki dyskursu publicznego – to jest spojrzenie ogarniające tylko wycinek rzeczywistości, w jakiej funkcjonuje socjologia, ale stanowi on w jakiejś mierze papierek lakmusowy naszego dobrego samopoczucia i naszych demonów.

To prawda, że polskie społeczeństwo doświadcza w ostatnich dekadach fundamentalnych zmian – ale doświadczało ich już wcześniej. Sądzę, że genezy problemów i kompleksów współczesnej socjologii należy szukać w historii represji dyskursu naukowego i autocenzurze wyobraźni socjologicznej. Rewolucyjną zmianę społeczną, jaka stała się udziałem Polaków po 1944 r., socjologowie mogli tylko legitymizować i opisywać z jednej perspektywy albo wymownie o niej milczeć. A kolejnego przełomu, jakim był ruch społeczny „Solidarność”, nie przewidzieli – owszem, byli kronikarzami, ale nie prorokami. Dlatego kiedy nadeszła zmiana ustroju, pojawiła się zrozumiała, ale też kompulsywna chęć wytwarzania dyskursu socjologicznego i poprawy pozycji dyscypliny w sferze publicznej.

Same tytuły ówczesnych prac sygnalizują ambicje środowiska. Zaczęło się bodaj od „Demokratycznej rekonstrukcji. Z socjologii radykalnej zmiany ustrojowej” Edmunda Wnuk-Lipińskiego z 1996 roku oraz „Socjologii wielkiej przemiany” Jerzego J. Wiatra z 1999 roku. Rok później ukazała się „Trauma wielkiej zmiany. Społeczne koszty transformacji” Piotra Sztompki. Książka ta i inne teksty tego cenionego autora, przez długi czas były wykładnią skutków transformacji, ale – ośmielę się to napisać – okazały się tekstami szkodliwymi, ponieważ dającym akademicki, naukowy autorytet paternalistycznemu i uwielbianemu przez socjologów, ekonomistów, polityków i dziennikarzy podziałowi na cywilizacyjnie kompetentnych, przedsiębiorczych *wygnanych* i samych sobie winnych, niezaradnych *przeigranych* transformacji. Potem ukazała się jeszcze monografia zbiorowa pt. „Oswajanie wielkiej zmiany. Instytut Socjologii UW o polskiej transformacji” pod redakcją Ireneusza

Krzemińskiego i Jacka Raciborskiego i inne podobne publikacje. Socjologia wielkiej zmiany chciała być Wielką Socjologią, która w laboratorium polskiego społeczeństwa wypracuje modele i matryce modernizacji społecznej, wyrażone w języku zachodniej akademii i będące towarem eksportowym. Ofiarą snu o wielkości padł oryginalny i krytyczny dorobek polskich socjologów transformacji, nieprzylączających się do chóru i z czasem marginalizowanych, co wnikliwie opisuje w swoich pracach chociażby Agnieszka Kolasa-Nowak.

Nie licząc paru zagranicznych karier, sen o wielkości się nie spełnił. Polska socjologia chyba za bardzo szukała uprawomocnienia, oglądając się na innych, a nie na własne społeczeństwo. Zapożyczając się u Andrzeja Ledera, powiedziałabym, że „prześnioną rewolucją” dla socjologów był zwrot neoliberalny, to znaczy systematyczne, czasem brutalne, podporządkowanie życia społecznego w niemal każdym jego wymiarze regułom indywidualistycznej konkurencji i promowaniu modelu osobowego „przedsiębiorcy samego siebie” (teraz zapożyczam się u Michela Foucaulta). Oczywiście, dzisiaj już dużo się o tym mówi, ale najpierw trzeba było bolesnej chłosty, jaką uczelniom wymierzyła prorynkowa władza, aby jasne stało się to, że „grantoza”, „punktoza” i eliminowanie z uczelni jednostek nieprodukujących cennych dla organizacji zasobów to tylko jeden z aspektów dojmującego doświadczenia nowej rzeczywistości, które jest udziałem większości społeczeństwa.

Polska socjologia opisała więc i bardzo mocno uogólniła potransformacyjną, a następnie poakcesyjną i kapitalistyczną rzeczywistość, racjonalizując jej koszty, zamiast szukać jej głębokich źródeł. Uchwyciła, raczej powierzchwniowo, niepokoje i napięcia pojawiające się społeczeństwie, ale zamiast teoretycznie zinterpretować, udramatyzowała je, pomijając przede wszystkim ich klasowy i ekonomiczny wymiar. Teoretyczna interpretacja w ogóle jest słabością polskiego dyskursu socjologicznego. Nie wymaga się jej w pracach magisterskich, a nie zawsze nawet w doktorskich. Wypiera ją imitacja albo retoryka. Uważam, i nie jestem w tym stanowisku odosobniona w gronie badaczek i badaczy dyskursu, że najbardziej wpływowe i medialne osobowości polskiej socjologii przyczyniły się do upowszechnienia i reifikacji binarnych konstruktów dwóch Polsk, dwóch społeczeństw, dwóch narracji, których kulminacją jest powtarzana przez elity polityczne, intelektualne i symboliczne od prawa do lewa, nieszczęsna kategoria „wojny kulturowej” – objaśnienie łatwe, banalne, nic nietłumaczące, tylko manifestujące swoją rzekomą radykalność.

Te gorzkie uwagi kieruję zasadniczo pod adresem głównego nurtu polskiej socjologii, ponieważ istnieją od dawna i rozwijają się takie nurty refleksji, które problematyzują ten imitacyjno-usługowy charakter i neoliberalny język nauk społecznych, ale nie mają takiej siły przebicia ani medialnej legitymacji, jak socjologia „binarnego społeczeństwa”. Być może

moja krytyka jest po części prezentystyczna, ale nie zmienia to faktu, że głównonurtowa socjologia niewiele nauczyła się na własnych błędach. Po 2015 roku nie potrafiła opisać wyborców PiS-u, a więc znaczącej części społeczeństwa, zbyt często uciekając się do słowa-wytrychu, jakim jest „mentalność”. Społeczeństwo rozczarowało socjologów, a oni nie potrafili tego zawodu ukryć. Mam wrażenie, że to, co niedobre i niechwalebne w polskim społeczeństwie (a przecież spraw takich nie brakuje) jest zbyt często opisywane albo w duchu Malinowskiego, niczym wyprawa do Trobriandczyków, albo w tonie lamentu elit jak u Ortegi y Gasset, a za rzadko w tradycji Krzywickiego, Tarkowskiej czy nawet Baumana. Może dlatego tyle emocji wzbudziła kilka lat temu niewielkich rozmiarów książka Macieja Gduli pt. „Nowy autorytaryzm” o zwyczajnej twarzy wyborców prawicy z małych miasteczek. Wielu było zdziwionych, że tak też można pisać.

Co polska socjologia wnosi do światowej? Mam wrażenie, że więcej z niej wynosi, niż wnosi, często bezkrytycznie przeszczepiając cudze teorie i koncepcje na polski grunt. Ciekawy i dostrzegany na zagranicą jest dorobek badań centro-peryferyjnych i postzależnościowych, które nie aplikują mechanicznie zachodnich teorii do lokalnych przypadków, ale stawiają pytanie o to, czy i jak można czytać polskie doświadczenie historyczne i aktualną rzeczywistość społeczną poprzez pryzmat zachodniocentrycznej krytyki władzy i podległości. Kluczowym rozpoznaniem jest tu diagnoza polskiej peryferyjności, która nie szpeci i nie hańbi, a paradoksalnie może pomóc wydobyć się socjologii z niektórych jej kompleksów. Wróć do tego pod koniec ankiety.

2. Zmiany dokonały się także w samym **życiu i otoczeniu instytucjonalnym** socjologii, m.in. następują w niej kolejne zmiany pokoleniowe. Jak Pani/Pan je widzi i ocenia? Jakie widzi „motory i hamulce” przyszłego rozwoju socjologii?

Odpowiadając na to pytanie, będę kontynuować wątki rozpoczęte wcześniej, bo to są pytania powiązane ze sobą. Rok temu prowadziłam wywiady z dziennikarzami i publicystami na temat, ogólnie rzecz ujmując, kondycji debaty publicznej w Polsce. W jednym z wywiadów pojawił się wątek występujących w mediach socjologów. Dziennikarz, reprezentujący opcję lewicową czy liberalno-lewicową, często prowadzący wywiady i audycje z udziałem akademików, nie tylko zwracał uwagę na przewidywalność i schematyzm ich diagnoz, radykalną retorykę dzielącą społeczeństwo i dyskredytującą tych, którzy nie mieszczą się pożądanym wzorcem obywatela. Opowiedział też o swoim sposobie na napomnienie socjologów i korektę ich dyskursu. Otóż kiedy powtarzają frazesy o niedojrzałych do kapitalizmu i

modernizacji społecznej Polakach, to on zaczyna im pozornie schlebiać, przypominać, że „już w latach dwutysięcznych bardzo uważnie zastanawiali się nad sytuacją polskiego robotnika” i że kiedyś formułowali postępowe stanowiska, które dzisiaj, kiedy krytyka kapitalizmu i neoliberalizmu jest lepiej słyszana, mogliby bez przeszkód prezentować. „To jak z dzieckiem, no, że, mówisz im, że to w gruncie rzeczy są wasze słuszne poglądy” – ironizuje dziennikarz.

To tylko anegdota, ale traktuję ją jako ilustrację zjawiska deprecjonowania i infantylizowania socjologii, za które wszyscy odpowiadamy. Oczywiście, wpływają na to niezależne od nas czynniki zewnętrzne, które uczyniły kontekst instytucjonalny socjologii trudnym, a czasami nieznosnym. Upodabnianie się uniwersytetu do przedsiębiorstwa, ocenianie pracy naukowej nie za pomocą kryteriów heurystycznych, ale ilościowych i optymalizacyjnych, przerost biurokracji i raportowania, niż demograficzny i obniżenie się prestiżu studiów socjologicznych, permanentne niedofinansowanie uczelni, a niekiedy presja polityczno-ekonomiczna na badanie tematów wygodnych i bezpiecznych dla dysponentów władzy i pieniędzy – to wszystko są rzeczy istotnie i negatywnie wpływające na nasze funkcjonowanie w akademii i społeczeństwie, ale jednocześnie są to już sprawy dobrze rozpoznane, truizmy. Do tego dochodzi głęboka ekonomiczna deprecjacja naukowców. Kiedy piszę te słowa, inflacja sięga 16 proc., a minister Czarnek zapowiedział podwyżki dla nauczycieli akademickich na poziomie 4,4 proc. Trudno się dziwić osobom rezygnującym z tak zwanej „kariery naukowej”.

Większość jednak zostaje i odrobina sprawczości wciąż jest w naszych rękach. Łatwo jest nam krytykować dyscyplinującą władzę, niedouczonego polityków, impertynenckich dziennikarzy, bezczelnych studentów i ogólnie mało uprzejme społeczeństwo. Warto jednak spojrzeć także krytycznie na siebie. Większość z nas nie odpowiada bezpośrednio za przemiany instytucjonalnego otoczenia socjologii, zwłaszcza za organizację szkolnictwa wyższego. Oczywiście, w długiej perspektywie czasowej środowisko socjologów też dołożyło swoją cegiełkę, legitymizując w swoich badaniach i wystąpieniach publicznych określony kierunek przemian społecznych. Natomiast tym, na co mamy wpływ, nawet jeśli nam się wydaje, że go nie mamy, jest życie instytucjonalne socjologii. Owszem, jego ramy wtłoczone są w wymogi związane z parametryzacją i mierzalną efektywnością działań, lecz to czym te ramy wypełnimy zależy od nas.

Nie znam codzienności wielu ośrodków w Polsce. Moje uwagi opieram wyłącznie na uczestnictwie w życiu Instytutu Socjologii UŁ, mam jednak nieodparte wrażenie, iż rzeczywistość innych środowisk socjologicznych niekoniecznie jest bardzo odległa od tego, które znam najlepiej. Otóż, mimo starań dyrekcji i różnych katedr, by stwarzać okazje do

dyskusji naukowej i środowiskowej, organizować seminaria, debaty i konferencje (teraz coraz częściej na powrót stacjonarne), niewiele z tego wychodzi. Wydaje mi się, że oduczylśmy się rozmawiać ze sobą na ważne dla nas i naszej pracy naukowej tematy. Kiedy zdarzają się wspólne zebrania i jubileusze, to starsze pokolenie z nostalgią wspomina dawne nocne socjologów rozmowy, ale samo chyba nie wierzy, że możliwy jest powrót do przeszłości. Młodsze pokolenie kiwa ze zrozumieniem głową, ale czy nie myśli sobie: „ok, boomer, kto ma na to czas?”. Uwierzyliśmy w to, że dyskutować i być ze sobą dla samego dyskutowania i bycia nie opłaca się. Opłaca się publikować wyłącznie w wysokopunktowanych czasopismach i pisać wnioski grantowe. Zapominamy o tym, że to jest w dużej mierze dyskurs, a dyskursowi można stawiać opór. Można najpierw dyskutować, a dopiero potem publikować, bo dzięki rozmowie i krytyce innych badaczy nasze teksty stają się lepsze. Ale i na to zwykle szkoda nam czasu, bo terminy raportowania i wykazywania się nas gonią. Bardzo szybko wielu z nas przyzwyczało się też do zdalnego życia akademickiego. To, co miało być rozwiązaniem tymczasowym, na czas pandemii, staje się modelem preferowanym. I to przez socjologów, którzy powinni przecież szczególnie cenić możliwości bezpośredniej komunikacji. Zgadzam się z argumentem, że zdalne seminaria i konferencje dają możliwość uczestnictwa osobom z różnych miast i krajów bez ponoszenia kosztów podróży, co w epoce zaciskania pasa i katastrofy klimatycznej jest sprawą bez wątpienia istotną. Ale odpowiedzmy sobie szczerze, czy to nas najbardziej pociąga w zdalnej akademii? Czy może to, że można być na konferencji i nie być jednocześnie, załatwiając kilka spraw w tym samym czasie i przełączając się między aplikacjami? Sama się na tym łapię i biję się w pierś.

Kontekstem tej ankiety jest Zjazd Socjologiczny. Myślę, że będzie on rodzajem testu, nie tylko z powrotu do spotkań naukowych twarzą w twarz, ale także ogólnie z kondycji debatowania w naszym środowisku. Czy uznane nazwiska, z tytułami, znowu wypowiedzą te same tezy o podzielonym społeczeństwie, odwołując się do stałego zestawu swoich ulubionych odniesień teoretycznych? Czy młodszy będą na sali nie tylko ciałem, ale i rozumem, czy też będą nastawieni głównie na „sieciowanie się” i szukanie nowych kontaktów do zrobienia czegoś razem – za dużo punktów? Zmiana pokoleniowa w socjologii i w nauce w ogóle jest faktem. Jest to zmiana przede wszystkim ideowa i komunikacyjna. Nie potrafię ocenić, czy jest to zmiana dla socjologii dobra, czy nie. Każde pokolenie ma swoje frustracje. Starsi pewnie częściej chcą zdystansować się od zmian, których nie akceptują lub nie rozumieją i chcą zwyczajnie dotrwać. Młodszy częściej ignorują kontekst i chcą po prostu przetrwać w coraz bardziej prekaryjnych warunkach.

Dlatego nie do końca odpowiada mi metafora „motorów i hamulców” przyszłego rozwoju socjologii (wołałabym mówić o impulsach, za którymi można podążyć lub nie), ale jeśli miałabym spróbować odpowiedzieć na to pytanie, to wskazałabym jako motor krytyczne myślenie i konstruktywną niezgodę na rzeczywistość, która nas mierzi; a jako hamulec – bezkrytyczną zgodę. O coś podobnego chodziło, jak sądzę, cytowanemu wyżej dziennikarzowi. O przypomnienie sobie, że przecież potrafimy czasem nie płynąć z prądem.

3. Zmianie uległa **funkcja społeczna** socjologii. Jak widzi Pani/Pan dzisiejsze relacje między socjologią a społeczeństwem i władzą polityczną, aktywizm społeczny socjologów i krzewienie wyobraźni socjologicznej?

Odpowiadając na to pytanie, chciałabym przypomnieć dyskusję, jaka w 2012 roku przetoczyła się przez media i uczelnie, o kierunkach społecznych i humanistycznych, które miały być „fabrykami bezrobotnych”. Socjologia była jedną z wymienianych w tym kontekście dyscyplin. Odbył się publiczny sąd nad naukami społecznymi, obrona była słaba i raczej środowiskowa, a łątka „fabryki bezrobotnych” na długo przylgnęła do socjologii. Łatwość publicznego dyskredytowania socjologii jako drogi wykształcenia, a pośrednio także jako dyscypliny wiedzy, uzmysławia mi, że pytając o współczesną funkcję społeczną socjologii, pytamy o to, czy społeczeństwo, w tym elity władzy i pieniądza, uważa, że nauki społeczne w ogóle mogą pełnić jakieś ważne społeczne zadania.

Wiara w to jest w społeczeństwie nikła. Trudno obarczyć odpowiedzialnością za ten stan rzeczy wyłącznie globalne trendy związane z upadkiem autorytetu wiedzy naukowej, afirmacją zdrowego rozsądku, wypieraniem przez rozrywkę i skandalizację zobiektywizowanego przekazu eksperckiego czy też trwać przy hipotezie, że ludzie po prostu nie wiedzą, czym zajmuje się socjologia, a gdyby wiedzieli, to by szukali w niej odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Nie, społeczeństwu socjologia zasadniczo nie jest potrzebna do tego, żeby objaśniać sobie świat. Socjologowie częściowo się do tej marginalizacji dyscypliny przyczynili. Część się obrażała na tych, którzy widzieli w nich pracowników „fabryk bezrobotnych”, część poszła z duchem czasu do tego stopnia, że podporządkowała swoją aktywność aplikacyjnemu i prorynkowemu wymiarowi socjologii. Inni zorientowali się niemal całkowicie na szukanie uznania w zachodniej akademii, polską spisując w zasadzie na straty. Niektórzy, regularnie występujący w mediach tradycyjnych czy mający swoje publiczne profile w mediach społecznościowych, chcąc nie chcąc, przyjęli reguły rozgrywającej się tam orgii zdrowego rozsądku, nieśmiało tylko się przed nią broniąc. Nieliczni zapragnęli mieć

wpływ na polityczne procesy decyzyjne, przystąpili do rządowych lub prezydenckich rad i komitetów, narażając się na ostentacyjne niewysłuchanie, albo sami stali się politykami, ujawniając często, jak daleko są od społeczeństwa.

Choć mój wywód brzmi bardzo pesymistycznie, może wręcz fatalistycznie, to jego konkluzja wcale taka nie jest. Nadzieję widzę w większej samoświadomości socjologii i pogodzeniu się z własnymi ograniczeniami. Sądzę, że uznanie tego, iż socjologia i jej dorobek są nieistotne dla większości społeczeństwa, oraz że uprawiamy socjologię peryferyjną (nawet jeśli występujemy na konferencjach ESA i ISA czy publikujemy w journalach z wysokim impact factorem) może być wyzwalające. Uwalnia od konieczności pozowania na kogoś, kim się nie jest i pozwala skupić się na tych funkcjach społecznych socjologii, która są możliwe do realizowania. Chodzi o odejście od przekazywania wiedzy o wszystkich dla wszystkich, bo nie ma dziś ani masowego społeczeństwa, ani masowej publiczności. Mniejsza, czasem lokalna grupa odbiorców może będzie oczekiwała wiedzy pełniejszej i bardziej zniuansowanej. Absolutnie nie twierdzę, że socjologowie nie powinni występować w mediach (zaprzeczałabym sama sobie, bo mnie też się to zdarza), ale może nieco bardziej na warunkach własnych i swojej dyscypliny. Zaproponowane w ostatnim pytaniu hasło „krzewienia wyobraźni socjologicznej” wydaje mi się kluczowe. Wyobraźnia socjologiczna, wrażliwość społeczna i (samo)krytyczne myślenie to są dziś dobra deficytowe, a trzymając się tej ekonomicznej metafory, można powiedzieć, że socjologowie są w stanie zwiększyć ich podaż i na tym mogłaby polegać ich społeczna funkcja. Nie mentorowanie, nie wychowywanie (to już się nie uda), ale uczulanie i sianie wątpliwości tam, gdzie panuje dogmatyzm. To zawsze możemy robić. I nie bać się być z ludźmi, kiedy dzieje się coś krytycznego. W ostatnich zdaniach chciałabym wyróżnić te socjolożki i socjologów (m.in. Przemysława Sadurę i Sylwię Urbańską), którzy byli blisko LUDZI, bez względu na ich narodowość i kulturę, w trakcie (cały czas zresztą trwającego) dramatu humanitarnego na polsko-białoruskiej granicy. My tam wszyscy powinniśmy byli być.